



Fot. Jerzy Paszkowski

ALFABET

(sentymentalny, bo jubileuszowy)

Arkadia. Jeśli nawet gdzieś czy kiedyś w moim życiu owa mityczna kraina beztrudnej szczęśliwości się pojawiła, to na moment raczej i dawno, dawno temu minęła. Może w latach sześciennych była nią moja rodzinna Kielnarowa, u podłoga mamy, w gronie jeszcze wtedy całej, nieokaleczonej wojną i szczęśliwej rodziny. Rychło potem była już tylko coraz bardziej dorosła, często brutalna rzeczywistość, a ja byłem szczęśliwy, jeśli moja kielnarowska Arkadia mi się czasem przyśniła.

Biblia. Przyznaję się do jednego nałogu, którego zresztą wyzbyć się nie mam ochoty, do nałogu czytania. Zaczęło się od sylabizowania i trwa po dziś dzień. Jeśli nie piszę, czytam. Bez książki nie zasnę. Po Biblię sięgnąłem późno, ale w pełni świadomie. Potem była związana z chrześcijańsko-judaistycznym kanonem Tora, nieco osobny – Koran. I tyk buddyźmu przed podróżą do Mongolii i Chin. Niezwykle pouczające, momentami pasjonujące i wbrew pozorom całkiem współczesne lektury. Nie mam tylko pewności, czy po tych lekturach bliżej człowiekowi do raju.

Cel w życiu. Żyć, po prostu żyć. Nigdy sobie granicznie ważnych i życiowo decydujących celów raczej nie stawiałem. Nie zżerała mnie ambicja, nigdy nikomu niczego nie zazdrościłem, nie żałowałem tego co było i minęło. Jeśli już o coś w życiu dbałem, to żeby żyć uczciwie, bez niczyjej krzywdy. Tego rodzice od dziecka mnie uczyli. I źle mi z tym nie jest.

Dom. Dodajmy rodzinny, bo tylko taki dla mnie się liczy. Dom rodzinny, który się wspomina, za którym się tęskni, to pokoleniowe gniazdo, świątynia prawie. Ten, w którym się urodziłem krzepi się jeszcze, stoi po dziś dzień w mojej Kielnarowej. Zbudował go mój dziadek, Leon Kaplita. Mój ojciec wołał losu aż cztery domy od fundamentów musiał budować. I zbudował. Ja syna mam, przylaszek drzew zasadziłem, ale osobnego domu dla mojej rodziny nie zbudowałem. I już nie zbuduję, choć tak mi się zawsze marzyło.

Ecce Homo. „Oto człowiek!” Każdy bez wyjątku – od urodzenia do kresu, niezależnie od płci i rasy, koloru skóry czy wyznania – ma, powinien mieć na tym świecie równe prawa, miejsce i obowiązki. Biada tym, którzy takiej świadomości nie mają, a jeszcze gorzej, jeśli uważają się za osobnych, lepszych i nie daj Boże za „nadludzi”. Do czego to może prowadzić, znamy z niedawnej historii. A i dzisiaj, jeśli pomyśleć o Afryce choćby. Człowiek człowiekowi człowiekiem, bo inaczej nie na świecie po takim człowieku.

Fantazja. Nadzwyczaj pojemne, wieloznaczne słowo. Fantastą nie jestem. Sądzę wszak, że odrobina fantazji w życiu nikomu nie zaszkodzi, wręcz ubarwi je i urozmaici. W młodości fantazja częściej mną powodziła, bywało że nader frywolna i lekomyślna. Teraz, jeśli nawet sobie pofantazjuję, to

chyba w trakcie pisania. I to raczej rzadko, bo moja proza od zawsze mocno trzymała się życia i twarodo stapa po ziemi.

Grażyna. Imię mojej córki. Sam jej to imię wymyśliłem i z uporem nadałem, bo miała wołać się Zofią. „Tyż piknie”, tyle że ja wzorowałem ją na pierwotną na Grażynie Mickiewiczza i marzyłem, żeby choć parę cech tej bohaterkiej księżnej Nowogrodka wraz z tym imieniem sobie przyswoiła. I choć moja z litewska Grazi, jak tamta wymyślona przez Mickiewiczza wraz z imieniem w zbroję się nie obleka, to z życiem, które nie zawsze ją pieści, nad podziw dzielnie sobie radzi. Więc chyba jest coś w imieniu, jakie każdy z nas nosi.

Honor. „Książę Józef w nurty spojrzal, w bok rumaka wbił ostrogę: Bóg mi honor zdał Polaków, Bogu tylko zdać go moge!” Pojęcie, które wśród dzisiejszych Polaków raczej zanika, albo całkiem niestety potaniało. A przecież i dzisiaj znaczy to tyle, co godność i cześć, świadczy, czy jesteś człowiekiem odwagi i raz danego słowa, czy lawirantem i chorągiewką na wietrze. Nikt dzisiaj nie wymaga od nas poświęceń księcia Józefa, ale pomyśleć o naszym honorze warto.

Idol. Bożyszcze prawie, sevrski wzór do naśladowania. Nie, nigdy takiego wzorca nie miałem. Owszem, podziwiałem i podziwiałem wielu dawnych i współczesnych znakomitych ludzi za wiele, ale tylko do tego się ograniczam.

Jabłko. Dla mnie żaden inny kwiat, żaden krzew, żadne owocowe drzewo w Polsce, nie kwitnie tak rozkosznie jak jabłko. A jeszcze tak znaleźć się pośród kwitnącego sadu! Lubię jabłka, od wczesnych zielonych papierówek po późne cierpko-gorzka renety. Na Sybirze jabłka w ustach nie miałem. Kiedy wróciłem do Polski, z prawdziwą dziką rozkoszą rzuciłem się na jabłko. I nawet potem napisałem o tym opowiadanie *Złote jabłko*, które zamieściłem w zbiorze *Cedrowe orzechy*.

Koń. Na „K” kobieta powinna być pierwsza. Bo kobiety od zawsze lubiłem i lubię, a jest koń! Ano dlatego, że na kobietach nie znam się prawie wcale, a na koniach jakby odrobinię więcej. Ze wsi pochodzę, więc z koniem byłem prawie od niemowlaka. Dosiadać konia, na oklep oczywiście, nauczyłem się wcześniej niż pierwsze literki stawiać. Mój ojciec, jak wszyscy Dominowie, kochał się w koniach. Najpiękniejsze miał stryj Karol. Pamiętam do dziś dwie dereszowate klacze, Zulę i Bibę, obydwie zmobilizowane, z wojny 1939 roku nie wróciły. Konie, nasze konie! Jak mogło być inaczej, skoro mój ojciec w sławnym rzeszowskim 20. Pułku Ułanów Króla Jana służył. Jak chciała ułańska Żurawiecka: „Trochę chamów, trochę panów, to 20-sty pułk ułanów”. Rżały nasze konie pozostawione w stajni, kiedy nas z Podola na Sybir wywożono. A i tam, na Sybirze, na koniach jeździłem, na równi z końmi

Urodzony 21 grudnia 1929 roku w Kielnarowej. Pisarz, członek Związku Literatów Polskich, b. prezes rzeszowskiego oddziału, b. redaktor naczelny miesięcznika społeczno-kulturalnego „Profile”. Autor wielu książek – zbiorów opowiadań, reportaży literackich i powieści, m.in.: *Błędne ognie, Wicher szalejący, Sztorm, Pszenicznowłosa, Złota pajęczyna, Noc na kwaterze, Czas do domu chłopaki, Brama niebiańskiego spokoju, Notatki spod błękitnej flagi, Bukowa polana, Kraina Smoka*. I najbardziej wyróżniających jego twórczość: *Syberiańska polska, Czas kukulczych gniazd, Tajga, Tamtego lata w Kajeńie*. Jego proza tłumaczona była na język francuski, rosyjski, ukraiński, białoruski, bułgarski, słowacki, gruziński i kazachski.

ciężko pracowałem i zmyślnie koniki mongolskiej porody całymi tabunami po nocach wypasałem.

Lwów. Mało kto pamięta, że przed wojną powiat rzeszowski należał do województwa lwowskiego. Choćby tylko z tego tytułu, Rzeszów, nie mówiąc już o Jarosławiu czy Przemyślu, do Lwowa ciągnęło. A po wojnie, wola niewuła odwrotnie, to lwowiaków ciągnęło do Rzeszowa. Lwów! Za sam tylko niepowtarzalny lwowski „bałak” zachowajmy to miasto we wdzięcznej narodowej pamięci. „Józku, ciuchraj, nie bądź frajir, weź harmonii, zagraj sztajir”. A gdzie tu jeszcze polsko-lwowska wiekowa historia, lwowskie Orleża, lwowskie cmentarze naszych sławnych przodków... Przed wojną, dzieckiem zaledwie dwa razy we Lwowie byłem. Po wojnie też nie więcej. Jakoś mnie tam teraz specjalnie nie ciągnie; nie to samo miasto, nie ci sami ludzie, nie ten „bałak” i klimat. Zamiast tam bywać, wolę pamiętać.

Łańcut. Nie za często, ale każdej wiosny prawie bywamy w Łańcutcie. Wybieramy z żoną piękny słoneczny dzień, jedziemy po przyzamkowym parku pospacerować. A jeszcze jak trafimy na kwitnące magnolie! Od niedawna dochodzi jeszcze storczykarnia. Na zamek też zaglądamy, bo warto, ale na zamkowe, świetne skądinąd koncerty, rzadko się snobowałem. Łańcut zamkiem się sławi i z zamkiem nie tylko w Polsce kojarzy. A mnie ponadto z nieodżałowanym jego wieloletnim dyrektorem Władkiem Czajewskim. I jeszcze z goszczonym na zamku Julińskim Bractwem Literackim (to od pobliskiego przyzamkowego Juliana), z takimi literackimi znakomitościami, jak Julian Kawalec, Wojciech Żukrowski, Tadeusz Nowak, Wiesław Myśliwski, Henryk Bereza czy Artur Sandauer i wielu innych. I jeszcze z samorodnym literackim talentem pierwszej gildii, który w tym Bractwie na równych prawach zasiadał, z Romanem Turkiem Łańcut mi się kojarzy.

Matka. „Ona mi pierwsza pokazała książkę...” Moja Matka, Antonina z Kaplitów, zmarła na Sybirze, w Kaluczem nad Pojimą, 15 maja 1940 roku, w kwiecie wieku. Brat Tadek miał wtedy cztery latka, a ja dziesięć. Mamie, oprócz dożgonnej pamięci, poświęciłem *Cedrowe orzechy*. Prawie dokumentalnie jest też o Niej w *Syberiadzie polskiej*. Niestety, mam po Niej tylko jedną jedyńą pamiątkę. Jest to jej podręczna kucharska książka, którą Mama w panice syberyjskiej wywózki chyba odruchowo do tłumoka wrzuciła. Książka ocalała. Strzeżliwszy jej z Tadekiem jak skarbu największego, bo nie dość, że był na niej Mamy własnoręczny podpis, to jeszcze taki, też własnoręczny, niezwykle w swej wymowie wpis. Oto on: „Odwadnym w życiu trzeba być/ ze strachem w sercu trudno żyć/ i mężnie w życiu staczać bój/ za prawdę i za honor swój”. Do dziś nie mam pojęcia skąd Mama to życiowe motto zapożyczyła. Kto był jego autorem? Dość,

że musiał być dla niej przejmująco ważny, skoro go sobie zapisała. Na Sybirze ta ocalona przez Mamę książka odegrała w moim życiu jeszcze jedną ważną rolę, pielegnowała moją polską mowę. A to zapisane przez Mamę przesłanie, które umiem na pamięć, znaczyło dla mnie i po dziś dzień znaczy więcej niż to można sobie wyobrazić.

Nadzieja. „Nadzieja matką głupich”, mówi popularne polskie porzekadło. Zależy na co się ma nadzieje, bo jeśli na wygraną w totolotka, to tak. Ale w sprawach życiowo ważnych, bez odrobiny nadziei ani rusz. Wolę Słowackiego: „Niech żywi nie tracą nadziei”, podparte Kochanowskim: „Nie porzucaj nadzieję, jakoś się kolwiek dzieje”. Nigdy nie wolno jej tracić. Nadzieja dodaje sił na przetrwanie. Wiem to po sobie. Niezachwiana nadzieja na powrót do Polski pozwoliła nam przetrwać Sybir. Nadzieja nie zawiodła, wspomagała mnie w walce o zdrowie moich bliskich. Serio traktowanej nadziei nigdy porzucać nie wolno.

Ojciec. Stanisław Domino, od paru lat świętej pamięci. Chłop z dziada pradziada, z zasłużonego budziwojskiego rodu Dominów. Jeśli do czegoś oprócz rodziny przywiązany był najbardziej, to na pewno była to ziemia i praca na roli. To w pogoni za skrawkiem podolskiego czarnoziemu mój ojciec wyprowadził całą naszą rodzinę z Kielnarowej na Podole, pod Zaleszczyki. Niestety, zapłacił za to niewyobrażalną cenę. Wywieziony przez Sowieców na Sybir, stracił nie tylko wymarzoną ziemię ale i cały dobytek, do przysłowiowej ostatniej koszuli. Na Sybirze pochował żonę, dzieci sierotami zostawił i musiał pójść na wojnę. Zresztą innej drogi do Polski stamtąd nie było. Od Lenino do Berlina doszedł. Po wojnie Ziemia Odzyskana i zaczynanie wszystkiego od nowa. A ile razy, nie tylko na froncie, śmierć mu w oczy zaglądała? Nie słyszałem go nigdy narzekającego. Nieszczęściu się nie poddawał. Kiedy tak sobie czasem o rodzicach myślę, to coś mi się zdaje, że ciekawość świata i ufność do ludzi po Mamie odziedziczyłem, natomiast po Ojcu charakter. A im dłużej mojego życia, tym bardziej Ojca rozumiem i podziwiam. A bywa żaluję, że nie zostałem na wsi i nie przywiązałem się do ziemi tak jak On.

Polska. Właściwie to powinienem ograniczyć się tylko do wywołania tego słowa: Polska; bo dla mnie ono znaczy i zawiera w sobie wszystko. Wiem, co o Polsce myślę, wiem, co do niej czuję, ale w tej chwili dostatecznie nośnych słów mi brakuje, żeby to wypowiedzieć. Polski nie musi mnie nikt uczyć. Życie mnie Polski nauczyło. Należę bowiem jeszcze do tego, mam nadzieję ostatniego już pokolenia, które Polskę utracić mogło: klęska roku 1939, Hitler, Stalin i czwarty rozbiór Polski. Niektórym z nas się zdawało, że już ją prawie utraciło... „Ojczyzno moja. Ty jesteś jak zdrowie./ Ile cię trzeba cenić ten tylko się dowie, kto cię stracił.” Mogłem, ale jej nie utraciłem. I nigdy w nią nie zwątpiłem. Wróciłem do Polski z Sybiru, a ona przyjęła mnie jak syna, nakarmiła, odziała i posłała do szkoły. Wdzięczny modłę się za nią słowami Tuwima: „Chmury nad nami rozpał w łunę./ Uderz nam w serca złotym dzwonem./ Otwórz nam Polskę jak piorunem.../ Niech każda Polska będzie wielka./ Synom jej ducha czy jej ciała/ Daj wielkość serc, gdy będzie wielka/ I wielkość serc, gdy będzie mała.”

Rzeszów. Oto ze zdumieniem sobie uświadamiam, że mieszkam w Rzeszowie już bite lat 40! A więc połowę mojego żywota. Służyłem w wojsku, mieszkalem w Warszawie. Ale w pewnym momencie miałem już serdecznie dość. Może nie tyle wojska, ile ówczesnych apodyktycznych przełożonych. Napisałem raport i poprosiłem o przeniesienie mnie... do Rzeszowa. Był to rok 1969. Koledzy pytali, czemu akurat po Warszawie jakiś tam Rzeszów, który jeśli im się kojarzył, to raczej z dzikimi jeszcze wtedy Bieszczadami. Żartowałem, a może tylko trochę; dlatego, że ten cały Rzeszów leży pod moją rodzinną Kielnarową. Tamtej decyzji nie żałuję. Z czasem

do Rzeszowa przyzwyczaiła się nawet moja żona, rdzenna warszawianka. Tutaj dorastały i wykształciły się nasze dzieci. A ja? Bez obrazy Rzeszowa, i dziś chętnie przeniósłbym się do... Kielnarowej. Tym bardziej bez obrazy, bo ja naprawdę miast jako takich nie lubię. Owszem, jedne mi się mniej, drugie bardziej podobają, ale każde miast raczej mnie męczy. Choć nasz, dzisiejszy Rzeszów, na tle innych polskich grodów, jest już miastem wcale, wcale. Przez tyle lat i ja przyzwyczaiłem się do Rzeszowa. Co mi się w nim widzi, to nawet polubiłem: bulwary nad Wisłokiem, Wisłok, gdzie z wędką można podumać, Olszynki, już przy mnie zadrzewione, „noga” i siatka na Resovii, rzadziej żużel na Stali. A już całkiem osobno i raczej dawniej teatr Siemaskowej z niezapomnianymi Pleśniarowiczem i Kozieniem... Kilku przyjaciół, takich na dobre i złe, w Rzeszowie zyskałem. Na paru ludziach, którym w kłopotach rękę podałem, kompletnie się zawiodłem; zeszmacili się, skarleli. Samo życie! W Rzeszowie i w Kielnarowej napisałem najważniejsze swoje książki. Tutaj miałem okazję popracować w gronie świetnych dziennikarzy miesięcznika „Profile”. Tutaj przez jakiś czas działałem w zespole kultury partii, od której dzisiaj niektórzy, osiągnący wtedy wcale niezłe profity, odzęgnają się jak przysłowio-wy diabeł od święconej wody. Nic to, że znowu na kłęczkach pod inne, aktualnie wpływowe kropidło swój skołatany łeb nadstawiają. Tak więc Rzeszów. Tak więc Rzeszów to dziś już też i moje miast, któremu dobrze żyć i w którym już raczej do końca swoich dni pozostanę. Chyba, że mnie tutaj coś tak wnerwi nie do wytrzymania, wtedy ucieknę na Matczyne Pole, do Kielnarowej. Tylko do Kielnarowej. I nie daj Boże, żeby tam kiedyś cały Rzeszów za mną się przywłókł.

Syberia. Polscy zesłańcy mówią: Sybir. Brzmi to z rosyjska, ale bliższe jest odwiecznej, aborygeńskiej nazwy tamtej niezmierzonej krainy, wiecznej zmarzliny i tajgi. Do burjackiego Sibir-Sibir, ewenkijskiego Sabir czy nawet mongolskiego Szyberi. Jak go kto zwal, tak zwal, jedno jest pewne, że Polakowi od samej nazwy Sybir, włos na głowie się jeży. Kto liźnął historii, ten zna tego powody. Mam udokumentowane, że na syberyjskim zesłaniu przebywałem od 10 lutego 1940 roku do 17 czerwca roku 1946, a więc nawet na palcach licząc: 6 lat, 4 miesiące i 7 dni! Wystarczy. Co o tym zesłaniu miałem do opowiedzenia, zrobiłem to w syberyjskim cyklu moich książek, od *Cedrowych orzechów*, przez *Syberiadę polską* i *Tajgę*. Sybir, temat jak morze nie do wyczerpania i dobrze, że nie tylko ja z niego czerpię. Tutaj nie będę do niego wracał. Jeśli wspomnę, to z wdzięcznością i z potrzeby serca o tamtejszych aborygenach, rdzennych Sybirakach, od Rosjan przez wszystkie syberyjskie plemiona i nacje, na Buriatów kończąc. Bo tych ludzi należy wyraźnie oddzielić od panującego tam sowieckiego reżimu, od Stalina, Berii, Gułagu, NKWD *et consortes*. Oddzielić, bo większość z nich biedowało tam, głodowało podobnie jak my, zesłańcy. Może tylko byli lepiej do tamtejszych warunków klimatycznych przystosowani. Natomiast każdy polski Sybirak potwierdzi, że dzięki pomocy tych ludzi, a zwłaszcza kobiet Sybiraczek, wielu z nas zesłanie przeżyło. My z bratem Takiem na pewno. I jeszcze słów parę o polskich Sybirakach. Tak już niewielu nas zostało i z każdym dniem ubywa. Moje syberyjskie pokolenie jest prawie tym ostatnim. Nic dziwnego, że my Sybiracy przy każdym spotkaniu traktujemy się jak rodzina. Zanurzeni we wspomnieniach, przyzwyczajeni na Sybirze do wszystkiego najgorszego, nawet specjalnie na dzisiejsze dotyczące ich biedy, niewygody, nie narzekają. Zwłaszcza przed obcymi. Mają swój honor, użalać się i prosić o pomoc nie potrafią. Szkoda, że państwo, a i społeczeństwo tego na co dzień nie zauważa. Nie wystarczy przy okazji jakiejś bogoojczyźnianej rocznicy pomachać nad ich posiwiałymi głowami białoczerwoną i wygłosić tendencyjnie polityczną mowę. O Sybiraków

trzeba troszczyć się na co dzień. Tak niewiele wymagają, tak niewiele im potrzeba. Tymczasem, jeśli nie masz rodziny, a wielu z nich nikogo nie ma, to życie sobie staruchy jak potrafiacie. A do tego jeszcze jakiś politycznie zboczony dureń ma czelność wypomnieć Sybirakowi, jak to się śp. mojemu Ojcu przytrafiło, że czemu poszedł z Berlingiem pod Lenino, a nie z Andersem pod Monte Cassino. Albo jak to się w Rzeszowie przed paru laty zdarzyło, że podobnej miary nawiedzeni „nowi” patrioci Anieli Krzywoń, Sybiracze, Podolance, bohaterskiej dziewczynie spod Lenino uliczkę odebrali. I do dziś rzeszowskich rajców nie stać, żeby tę niefortunną decyzję zmienić.

Tyczyn. Nie mogę Tyczyna pominąć choćby dlatego, że podobnie jak Rzeszów pod moją Kielnarową leży, do tego jeszcze bliżej. Ale żarty na bok. Tyczyn lubię i od szkraba go pamiętam. Tam ugoszczony przez mamę pierwszego łoda smakowałem. W Tyczynie była moja parafia i gmina. W Tyczynie przed pomnikiem na Rynku, chyba z okazji 3. maja to było, jako trzecioklasista miałem swój pierwszy w życiu publiczny występ, deklamowałem wiersz Kornela Ujejskiego *Pod Maratonem*, którego kazał mi się wyuczyć nasz katecheta, ksiądz Ludwik Niemczycki. Do Tyczyna jeździły z Kielnarowej huczne wesela. Na cmentarz do Tyczyna wlokły się kielnarowskie pogrzeby. Tyczyn był dla mnie pierwszą „zagranicą”. Nigdy nie zapomnę jak dziadek Leon Kaplita prowadził mnie przez Tyczyn małego i wystraszonego za rękę, bo dookoła siebie widzę dziwnych, dziwnie odzianych ludzi, brodatych, pejsatych, a do tego mówiących w niezrozumiałym dla mnie języku. „Nie bój się wnąku, to są Żydy, takie same ludzie jak my oba, tylko między sobą po żydowsku gadają. Bo na tym świecie, wnąku, różne ludzie są i po różnemu do siebie gadają: My Polaki po polsku, a Żydy, po żydowsku. A są jeszcze Niemce, Austriaki, Taliańcy i różne takie inne. Jak byłem na taliańskim froncie...” Wracając do moich współziomków, owych tyczyńskich Żydów. Dowodnie i prawie naoocznie zrozumiałem na czym polegała zagłada Żydów polskich przez Hitlera, kiedy w lecie 1946 roku po powrocie z Sybiru stanąłem na tyczyńskim rynku: martwa cisza, ani jednego Żyda. Tyczyn wtedy nie był i już nigdy nie będzie podobny do tego, jakim go zapamiętałem podczas wspomnianej tyczyńskiej lekcji dziadka Leona. Dzisiejszy Tyczyn? Wciąż jest mi bliski. I mimo narastającej agresji coraz bardziej zaborczego Rzeszowa, który odebrał mi Białą a teraz jeszcze Budziwój zabra, Tyczyn broni swojej wiekowej odrębności i dzielnie sobie radzi. I poradzi. Bo to, jakby nie było, ongiś historycznie sławne „Państwo Tyczyńskie” przecież.

Ukraina. Moja świadomość bez Ukrainy i bez Ukraińców się nie obywa, od dawna i po dziś dzień. W twórczości zresztą też. Zaczęło się to chyba od Sienkiewicza, bo Słowacki doszedł znacznie później, a już na pewno od zaleszczyckiego, przedwojennego Podola. My Polacy byliśmy tam wysepkami pośród ukraińskiego, już wtedy nawet groźnie szturmującego morza. Weszli Sowieci i my staliśmy się nagle „polskimi panami”. Sybir. Nie wiem, szczęśliwy traf czy nie, bo kiedy przed kilkunastoma laty byłem w Tłustem i Worwolińcach pokazano mi studnie, do której wrzucano pomordowanych Polaków. Wołyń, Kocucie, Podole, niewyobrażalna zbrodnia i rana, która u kresowych Polaków nie może, i póki oni żyją, nigdy się nie zagoi. Ukraińcy też ofiary piekła tamtych czasów liczą i próbują Polakom swoje racje wykladać. Niestety, ani im, ani nam żadne tego typu rachunki i licytacje na nic się nie dadzą. Wybaczycie sobie wszystko, zapomnieć? Nie wiem, czy bym tak potrafił, ale na pewno nie potrafił mój przyjaciel, Jasiek Michalewski, który sam jakimś cudem z pogromu dzieckiem uszedł, ale całą jego liczną rodzinę od małego do starego pod Brodami wymordowano. Mam wielu przyjaciół Ukraińców, dobra ich „perciwka”, dobra nasza „wy-

borowa”, ale wobec takiego bestialstwa obydwie narażone nie pomagają. Trzeźwiejemy i nie bardzo wiemy, co sobie dalej powiedzieć i jak z czymś takim żyć. A żyć trzeba. I coraz to młodsze, Bogu ducha winne pokolenia Ukraińców i Polaków żyją. Normalnie. I nie oglądając się na grzechy przodków są coraz bliżej i razem. Niech mnie tu ktoś przeklnie, ale powiem: na szczęście! Bo nie ma na to innej rady, jak tylko dać szansę młodym pokoleniom i czasowi. I w nich tylko wspólna polsko-ukraińska nadzieja.

Wojna. Od prapoczątków ludzkości, oby nie po jej kres, wszystkie i wszelkie wojny w istocie swojej były, są i będą ludzkości największym nieszczęściem. Gdybym się jeszcze modlić potrafił, to bym głośno poprosił: „Od głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie”. Amen.

Związek Literatów Polskich. Jest to jedyna organizacja, do której jeszcze należą. Należę już raczej z sentymentu, tradycji i koleżeńskiej, pisarskiej solidarności. Każdy pisarz to pustelnik, ale bywa, że i jemu chce się być razem w koleżeńskim gronie. Założona z inicjatywy Stefana Żeromskiego, ongiś wielce nobilitująca, wiele znacząca i mogąca organizacja, gromadząca ludzi pióra o liczącym się, uznanym dorobku literackim. Miała dbać o krzewienie kultury literackiej, wspomagać pisarzy w kłopotach materialnych i wydawniczych. Dzisiaj różnie z tym bywa, niestety raczej gorzej niż lepiej. Zwłaszcza od czasu, kiedy polityka do naszego literackiego grona się wplątała, a literaci dali się skłócić, zapominając w zacietrzewieniu, że w literaturze nie polityka lecz jedynie... literatura się liczy. Trudno, jest jak jest i pewnie jeszcze chwilę to potrwa. Założycielem rzeszowskiego oddziału ZLP, któremu już ponad 40 lat stuknęło, był nie byle kto, bo sam legendarny nie tylko w Rzeszowie, Jerzy Pleśniarowicz. Wielu uznanych pisarzy od tamtego czasu przez literacki Rzeszów się przewinęło. Już sam ten fakt, oprócz wagi ich twórczości, miasto i region nobilituje, rezonując daleko poza jego granicę. Niestety, przykro to konstatować, ale nasi aktualni włodarze albo tego literackiego dorobku nie dostrzegają, albo, co gorsza, lekce to wszystko ważą. No bo jak to odczytać inaczej, jeśli dzisiaj miasta Rzeszowa nie stać na zafundowanie oddziałowi ZLP choćby najskromniejszego nawet pokoiku na siedzibę. W czterdziestoletniej historii oddziału jeszcze czegoś takiego nie pamiętam. Tymczasem, mimo wszystko, literackie środowisko Podkarpacia i Rzeszowa, w tym i nasz oddział rozrasta się i krzepnie, a co najważniejsze – do literatów i literatury garną się młodzi. Wystarczy sięgnąć po „Nasz-Rzeszów” i zainteresować się tam jakże utalentowanymi debiutami. A te cykliczne konkursy i imprezy literackie w szkołach. Bo co by nie gadać, słowo i literatura to jest to!

Żona: Barbara, Basia... Warszawianka, która dzielnie i nie bez poświęceń przewędrowała ze mną prawie całą Polskę wzdłuż i wszerz. Dla mnie jedyna żona, matka naszych dzieci, Grażyny i Sławka, babcia wnukom, i kto uwierzy, ale już i naszym prawnukom też! Ile to już lat razem? Szczerze wyznaję, że z każdym przeżytym dniem coraz bardziej ją szanuję. Za wszystko. Jeśli czemuś po cichu się dziwię, to jak ona z typem takim jak ja wytrzymuje. Ale moja Baśka to zodiakalny Lew przecież, a na wyprowadzenie Lwa z równowagi, na jego podrażnienie, nawet taki stary doświadczony Strzelec nie za bardzo może sobie pozwolić. Więc tak sobie pomalutku żyjemy. I oby najdłużej. A propos tego życia. Spodobało mi się bardzo, co przy podobnej okazji, też dość solidnego lecia, powiedział znany polski filozof, Zygmunt Bauman: „Miast próbować dodawania lat do życia, dodajmy życie do lat. Żyjmy jakbyśmy żyć mieli wiecznie, ale przeżywajmy każdą chwilę, jakby miała być ostatnią”.

Zbigniew DOMINO
Rzeszów, grudzień 2009



Poezja. Debiut Beniamin Bukowski

U r. 20 maja 1991 r. w Poznaniu, obecnie mieszka w Rzeszowie. Laureat kilkunastu konkursów literackich, m.in.: Grand Prix w ogólnopolskim konkursie poetyckim „Następcy Herberta”, I miejsce w konkursie rzeszowskiego Teatru Maska w kategorii „dramat”, I miejsce w jubileuszowym XXX ogólnopolskim Hyde Parku Literackim w kategorii „proza”, I miejsce w konkursie poetyckim XVIII Rzeszowskich Dni Kultury Szkolnej, dwukrotnie otrzymał II miejsce w konkursie na felieton organizowanym przez XIII LO we Wrocławiu. Obecnie uczeń III klasy liceum. Stypendysta Krajowego Funduszu na rzecz Dzieci.

Sokrates z wózkami

Pamiętam ten dzień deszczem spływający
I ściekający w brudne rynienki niepamięci.

Pamiętam, jak wyszedłem z hipermarketu
Z siatkami w rękach i garbem na duszy.
A on już tam był,
Poznałem go od razu.

Ten sam: pochylony, brzydki.
Tylko tak brzydki ludzie mówią szczerze o pięknie.

Sokrates. Pchający po parkingu pusty metalowy wózek.

Podszedł do mnie, wybrał mnie z milionów.
Czuć było od niego metafizyką wysączoną z wódki.
Zaczął od majeutyki („Niech mi pan pomoże, ja panu też
Pomogę mnie zrozumieć”). Potem słynna ironia
(Nie, nie – to nie na alkohol. Kupię za to jedzenie!).
Piątek z kieszeni, dłoń szybko się zaciska.
Odszedł chciwy Sokrates chwiejnym krokiem w nicłość,
Pozostawiając mnie samego i domysłem.

Myszę sobie, że nie zje go to, co ostatnim razem.
Nie wypije cykuty (choć może co innego).
W akcie zgonu wypiszą: „Umarł z wyziębienia”.

Nie przegra aby wygrać, lecz przegra po prostu.
Biedny Sokratesie, ta demokracja jest już dla Ciebie za duża.

Do Franciszka Bacona

Cum tacent, clamant
Cicero

Powiedz, proszę, Franciszku,
Dlaczego, dlaczego twój papier
Krzyczy strasznym płóciennym
Krzykiem struktury doskonale martwej.

Ty wiesz, że czerwienie
Kardynalskich szat i olejnej farby
Są w równym stopniu dalekie
Od tej najwyższej, pulsującej,
Od czerwieni mięsa.

Twój papier, Franciszku,
Dlatego tak krzyczy.
Twój papier, Franciszku,
Też to wie.

Nie ma w sobie nic
Z watykańskiej wzniosłości
Z ludzkiego ciała
Z kościelnej teologii
Z duszy nieśmiertelnej

Krzyczy, bo jest
Doskonale milczącym kawałkiem płótna.



Poezja. Debiut Maria Wodecka

Ma lat 17, mieszka w Dukli, jest uczennicą Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 5 w Krośnie.

Ptasi hymn o miłości

Pośród tchnącym zgliszczem zimy
Szukam niebieskich ptaków.
By odcinały się od mojej wyobraźni.
By złapać je niepostrzeżenie w klatkę.

Tylko one znają moje żarciki
I niemoc, z którą próbuję się wydostać.
Latać z nimi wolno między koronami.
Nigdy w czterech ścianach nie zostać.

Nienawiść do białej pani ewoluuje
Zaczynam ścinać wszystkie kwiaty
które mają kolor skrzęcej bieli.
Gonię nadal swoje sępie ptaki.

Uciekają z moich rąk jak
zręczne fleciki z ust Twych.
Gdzie moja wolność
w słowach cichych oddana?

Klucze od drzwi zjadł potwór
za nimi w ciemnym kącie ukryty.
Tylko śpiew razem z Wami
pomaga zapomnieć o polskiej niewoli.

Mam pokój pełen dziwnych zakamarków.
Nikt tu nie zagląda, nikogo to nie obchodzi.
Wyglądam przez okno śpiewając
aż mnie w końcu usłyszysz i przybędziesz.

Do księżniczki w najwyższej klatce
Zamkniętej jak młode kanarki i papugi.
Tylko na lato widzę wyraźnie wyjście
Wśród zimnych dni ono zanika.

Jak Alicja ugryzę kawałek ciastka
By stać się w Twych oczach pchełką.
A gdy nadejdzie najpiękniejszy wieczór
Zjem resztę i stanę całkiem nieśmiała.

Co wtedy powiesz? Czy na mój
widok zapomnisz jak się liczy
nazbyt krótkie, jęklive oddechy?
A może udasz, że wcale nie istnieje.

Obojętność wzbije skrzydła moje
Aż skrzeknę ze wzburzenia.
Nawet jeśli zacznie padać myślę
że nie zmknę bardziej niż od łez.

Całą zimę czekałam żeby Cię ujrzeć
kiedy teraz czas przychodzi
uwolnij mnie z prętów metalowych.
O droga miłości naucz mnie śpiewać.

Weź mnie pod ramię gdy nastanie ciepło
By mi już nigdy zimno nie było.
Zamień wszystkie pory roku w lato.
I rozpuść lodowatą krę w mym sercu.

Ja razem ze słowikami na zimę
odlatuję w ciepłe kraje mojej klatki
Zamykam oczy, nakładam na nie klapki.
Chociaż nadal śpiewam kto to słyszy...?



Poezja. Debiut Marzena Łącka

Tegoroczna maturzystka IX Liceum Ogólnokształcącego w Rzeszowie. Z inspiracji swojej polonistki Marii Tomkiewicz wzięła udział w XII Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim TPD „Cztery pory roku i ja”, w którym zajęła II miejsce z wierszem pt. *Kolejny dzień*.

Kolejny dzień

Kolejny dzień wstaje słońce.
Dookoła mnie roznosi się zapach
świeżo skoszonej trawy.
Jakże błogo wsłuchać się w świergot
ptasich melodii, i patrzeć...
na tych dwoje.
Widzę jak płyną jej łzy,
to poranna rosa odbiera sny.
Co mogą teraz myśleć?
Pewnie cieszą się swym szczęściem,
i wierzą w carpe diem,
bo wkrótce zima
skończy ich szczęśliwy dzień.
Jednak narcyz stoi dumny,
czuje siłę w swej miłości,
w tej stokrotce tak małejkiej.
Ona jakby trochę błada,
pochylona jest ku niemu.
Nie chce dążyć do przyszłości,
woli żyć w teraźniejszości.
Niebo płacze, obmywa ich
srebrzyste płatki.
Odchodzę.
Czyżby to już jesień?

PODZIELIĆ SIĘ WIERSZEM

Drodzy poeci oraz przyjaciele poezji,
16 grudnia 2009 (środa) wieczorem, w Kulturalnej Piwnicy YES przy ul. Reformackiej 4 w Rzeszowie (wejście od strony parkingu) odbędzie się „Opłatek Poetycki” (dzielenie się wierszem jak opłatkiem). Spotkanie ma formułę otwartą – najpierw wystąpią poeci regularnie publikujący (na odwagę i dla przykładu), a zaraz potem wszyscy, którzy zechcą zaprezentować swój wiersz. Prosimy o zgłoszenia obecności ASAP, mailowe, telefoniczne, etc.

Serdecznie zapraszamy i prosimy przekazać dalej tę wiadomość do wszystkich, którzy chcieliby się podzielić wierszem!

Barbara Chmura
(Wojewódzka i Miejska Biblioteka w Rzeszowie)
i Krystyna Lenkowska
(Preteksty Literackie).